Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Byk, ubity na tegorocznem rykowisku w Hrudopolu, (rew. Sosnowy Ostrów) przez p. Tadeusza Lilpopa.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 36 (812) 20 GRUDNIA 1935 R.



Rosochy łosia, ubitego na tegorocznem rykowisku w Ordynacji Dawidgródeckiej przez p. Stefana Endera. Fot. Ajzenberg, Stolin.

Szanownym Prenumeratorom

szczere życzenia pomyślnego spełnienia wszelkich Ich zamierzeń łowieckich, ku radości własnej i chwale łowiectwa polskiego — z okazji nadchodzących świąt

BOŻEGO NARODZENIA

przesyła

Redakcja.

FRAGMENT NIEWYDANEJ KSIĄŻKI.

Rudym, spleśniałym grzybieniem rdzawiły się puszczańskie błotka i nadrzeczne łąki, naprzemian oświecane karminowemi zachodami jesiennego słońca, to matowione granatem ciemno-szarych chmur, przewalających się szybko przy wtórowaniu jesiennych, smętnych wichrów, niosących w swej wymowie tęsknotę za czemś straconem, za czemś drogiem, bliskiem, milszem ludzkiemu sercu.

Piękne, ciepłe, południowe godziny polskiej jesieni zmieniały się w przejmujące dreszczem zimna wieczory, noce i ranki, a zwarzona zieleń roślinna przybierała z dniem każdym tysiące odcieni barw jaskrawszych.

Łąki i pola, zeschłe i zamierające trawy stroiły się niekiedy w srebro zimnych porannych ros, znikających przy pojawieniu się życiodajnego słońca.

Platynowym haftem babiego lata pościągały się przekwitające fiolety bujnych wrzosowisk i srebrzystą, pracowicie nizaną nitką pajęczyny połączyły się wszystkie trawki, łodyżki, łęty i gałązki.

Obfitą łzą porannej rosy spływały teraz co dnia zadumane i powiewne brzozy, żaląc się jakby w płaczu po utraconem szczęściu uchodzącego lata.

Kał w duszę ludzką wraz z zamieraniem przyrody. Trudno!... Widocznie człowiek także musi się przyzwyczajać do śmierci.

Życie puszczy chyliło się powoli do letargu.

Na porębach i żywicą tchnących haliznach nie igrały już beztroskie kraski — w olszynkach i wśród zagajników nie widać było zdziwionych, czubatych dudków, odleciały też całe rzesze drobnych śpiewaków z drozdem na czele i coraz częściej słyszeć się dawały przeraźliwe skrzeczenia sójek, krakanie wron, kruków, śmiechy srok oraz monotonne kołatanie pracowitego dzięcioła.

Kraśne sarny zmieniały ostoję i suknię letnią, przenosząc się z gęstych, liściastych zarośli do wyżej położonych sosnowych i świerkowych zagajników, a zawstydzone brakiem swej ozdoby mocniejsze rogacze nie pokazywały się przy rudlach, pozostając w samotności aż do wieczornego żerowania na przylegających do lasu oziminach.

Nocami straszyły po puszczy wilki; chyłkiem przemycał się z dalekich stron, spiesząc na zimowanie, najstraszniejszy wróg — ryś i często dudniły racice spłoszonych, a ostrożnych teraz chmar dziczych.



Rosochy łosia, ubitego na tegorocznem rykowisku przez P. Ministra Czesława Michałowskiego w nadl. Wiado.

Fot. J. Raczyński.

Coraz częściej widać było na pastwiskach z poszumem zrywające się rzesze zgromadzonych w wielkie stada szpaków, coraz rzadziej spotykało się spóźnione z odlotem jaskółki, a nigdzie już nie bielał zdaleka liczący na ludzką wyrozumiałość i pewny swego bezpieczeństwa bociek; zato na pobojowiskach żytnich, na nędznych podorywach i ugorach świegotały jeszcze gdzieniegdzie skowronki, a od horyzontu północy dawały się spostrzegać znużone klucze gęsi, ciągnących przez nasze ziemie z niedostępnej krainy śniegów.

Mieszkańcy błot już się niepostrzeżenie wynosili, gdzie komu należało, a miejsca ich zajmowały spasione, ukryte w suchych, gęstych trawach krzyżówki i skromne, nieruchliwe, jakby zmarznięte, bekasiki — wędrowcy z dalekiej tundry.

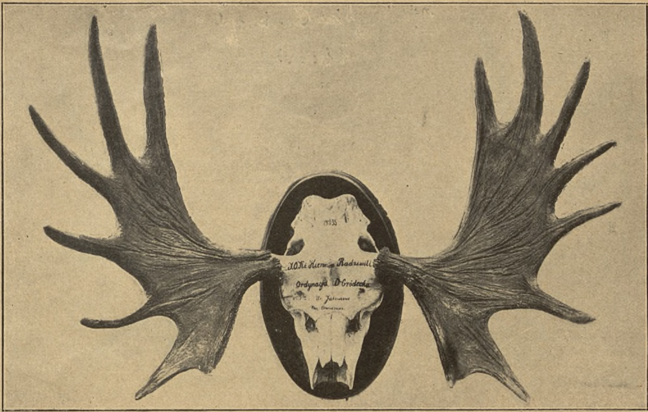
Smutek jakiś żywiołowy padał na pola i lasy i wnikał...

Lis włóczył się całemi dniami, wypatrując spadających z brzeziny na ziemię cietrzewi, lub wsłuchany w pogwizdywanie smacznego jarząbka; przypłaszczony do ziemi, podpełzał i wyciągał się, podobny do garści wiatrem przekręcanych, pożółkłych i zczerwieniałych liści.

W najniższych częściach okolicy, gdzie rozpanoszyły się zwarte miotły soczystych łóz, a nieprzebyte bagniska stawały się dostępne dla ludzi, zwożących zastożone siano dopiero w okresie najsilniejszych mrozów, wszczynał się teraz niepokój.

Niby nic — niby pustka, a coś dudni, coś haszcze łamie, coś stęka.

Znał dobrze te strachy Grzegorz. Już kilka nocy spędzał na błocie, już kilka zórz porannych słyszało w tym roku głos jego drewnianej trąby, okręconej,



Rosochy łosia, ubitego na tegorocznem rykowisku w Dawidgródku przez Hieronima ks. Radziwiłła Fot. Ajzenberg, Stolin.

jakby dla szyku, wąskiemi paskami brzezinowej, białej kory.

Zaszyty od północy w gąszcze uroczyska „Zielony Mech", przed świtem łamał i targał krzaki, trzaskał przyszykowanym posuszem, tupał i biegał na miejscu, a od czasu do czasu jęczał w dziwny instrument, rzekłbyś, że chciał kogoś nastraszyć.

Ale próżno.

Ludzie tego nie mogli słyszeć. Do wioski było w prostej linji 5—6 klm., a do uczęszczanych dróg tyleż samo, więc kogóż można było się spodziewać w takiem pustkowiu?

Aż nareszcie pewnej nocy, spowitej gęstą mgłą poleską, gdy upór kłusownika nie został złamany niepowodzeniem, hen, daleko za kanałem, od wschodniej strony odpowiedział mu głos podobny, równie tubalny, ale jędrniejszy.

Grzegorz przeczekał chwilę i znów stęknął. Potem rzucił się w najbliższy krzak i, łamiąc z trzaskiem kilkanaście prętów, jednocześnie znów zadął w lubianą trąbę.

I znów odpowiedział mu głos, ale już bliżej. Potem cisza nastała zupełna, ta zwykła, nocna, puszczańska cisza, wśród której myśliwy słyszy tylko bicie, a raczej wyrywanie się własnego serca.

Że był w łapciach, zastukał sporym, podręcznym i dość ciężkim pniakiem w ziemię, naśladując takt biegu zwierza, najpiękniejszego w poleskiej krainie. I takiż tupot polotnych racic mu odpowiedział. Potem załomotało coś ciemnego we mgle i jak zjawa wychynął z gąszczu cień potężnego rogala, niosącego na szeroko rozpiętych rosochach całe zwoje zaczepionych po drodze gałązek, pomieszanych z pnącemi się sznurkami dzikiego chmielu.

Tak strojny, chwytał w szeroko rozwarte, parujące chrapy nieznany odwiatr domniemanego rywala.

Raz i drugi grzebnął z rozmachem potężną racicą, ukazując w mroku jasne smugi rozpartych szeroko badyli, pochylił mocarny kark i dmuchnął z całych płuc w ziemię, jakby ją zmieść chciał razem z przeciwnikiem.

Ale do boju otwartego nikt nie występował.

Kłusownik stał z dobrym wiatrem o kilkanaście kroków od tego wspaniałego rycerza, oceniał jego wielkość i zwolna podnosił do ramienia wierną towarzyszkę łowów, starą, wysłużoną strzelbinę, a gdy już muszka legła na wspaniałym cieniu królewskiego zwierza, wypalił w tę masę z jednej lufy i zaraz poprawił z drugiej.

Jasny obłok dymu zagarnął w półmroku łosia i człowieka.

A gdy tylko echo strzałów ustąpiło miejsca powracającej ciszy, dochodziło już z dość daleka człapanie ciężkiego zwierza po błotnistym gruncie i słychać też było łamanie drobniejszych gałęzi, które trzaskały pod krzepkiemi badylami uchodzącego byka.

Ochłonął kłusownik z emocji, ocierał teraz kroplisty pot, zsunąwszy baranią czapę z czoła, i klął siarczyście.

Nie powracał jednak do domu. Nie miał pewności, czy spudłował, czy też ranił łosia i dlatego musiał czekać do świtu.

Kucnął na połamanym przez siebie krzaku, położył strzelbę na gałęziach i zabrał się do skręcania ulubionego papierosa.

JERZY DYLEWSKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na rok 1936, na I półrocze, na I kwartał, lub na miesiąc styczeń.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. **Administracja.**



Rosochy łosia, ubitego przez ordynata Karola ks. Radziwiłła w Dawidgródku na rykowisku 1935 r. Fot. Ajzenberg, Stolin

PIĘKNE SPOTKANIE.

Budzę się. Leżę w budanie, ogień ledwo się tli, gwiazdy na niebie — cicho.

Obudziło mnie coś. Może to wpływ atawizmu, że choć człowiek śpi, lecz, gdy bywa w lesie, czujny jest duch i słuch jego. Leżę i słucham. Jestem w budanie nad jeziorem Dyrewiec w Ordynacji Dawidgródeckiej, na łosiowych podsłuchach. Raptem naprzeciw jeziora, które jest podłużne, szerokości najwyżej sześćdziesięciu kroków, po tamtej stronie, porośniętej łozą, słyszę niebywały trzask, stękanie, później rujkę, bijatykę byków.

Wysoko na niebie księżyc. Patrzę na zegarek: dopiero dwunasta — zawcześnie na mnie. Słyszę łosie coraz bliżej, widać idą do wody, gdyż po chwili słyszę, jak cała kompanja oddala się z hałasem.

Nie mogłem już usnąć. Dziwnie wyraźnie napływały do myśli dawne wspomnienia myśliwskie, niezapomniane obrazy, które tak głęboko wrywają się w duszę myśliwego: dawne podchody, wabienie, różne spotkania.

Sławny Wieczera, najlepszy wabiarz, który pierwszy uczył mnie wabić łosie, jak również i manewrów łosiowych, stanął mi przed oczyma. Ileż to łosi pod jego wab zabiłem, ileż to on przy mnie wyprowadził łosi dla gości, a ja, stojąc przy nich, patrzałem, jak zemocjonowani strzelali do byków. Były też przecież wypadki, że musiałem, jakby się tu wyrazić — poprawiać po nich.

Gdzieś ty teraz, stary druchu, Wieczero? Czy żyjesz jeszcze? Pozostałeś bowiem po wojnie po „tamtej stronie".

Przypominam sobie, jak po wojnie w Ordynacji Dawidgródeckiej pozostały jedynie niedobitki łosi, jak z każdym rokiem stan ich poprawia się i jak coraz silniej i mocniej puszcza woła: — dajcie mi wabiarzy! A wabiarze, nawet średniej miary, powymierali, lub są tak starzy i głusi, i „bez nóg", że z tego nic nie wychodzi. Zacząłem więc po wojnie wybierać między gajowymi uczniów. Dużo mi ich przeszło przez ręce — cóż z tego! Jeden potrafi wabić, a chrop daje fatalny, lub naodwrót, chrop ma dobry, a wab taki, że łoś kilometrami ucieka. Rujki żaden nawet w przybliżeniu naśladować nie umie, a przecież to nie koniec, trzeba manewry rozumieć. Męczę się więc co rok na „Hołowach", dając lekcje. Jednem słowem — Smorgońska Akademja. Mam jednakże teraz młodego gajowego, który posiada, jeśli się mogę tak wyrazić, dobre możliwości, gdyż jego ojciec *illo tempore* był w Ordynacji wabiarzem. Wab ma doskonały, chrop niezły, manewry już dobrze rozumie. Zwabił przecież mnie i gościom już kilka łosi. Dzisiaj jest ze mną.

Czy marzyłem tak na jawie, czy też we śnie, — nie wiem, lecz gdy otwieram oczy, widzę, jakby niebo od wschodniej strony przywdziało jaśniejsze szaty. Czas wstawać. Podchodzę do budanu, gdzie są gajowi. Naturalnie wszyscy śpią, a dyżurny, który miał nas pilnować, ogień podsycać i w porę obudzić, śpi również w jak najlepsze. Trącam go, a on, zgłupiały ze snu, ledwo do tlejącego ogniska nie wpadł. Musiałem go za kark chwycić. Oprzytomniał. Przyłożyłem palec do ust, nakazując mu milczenie. Szeptem mówię, aby ognia nie podsycał, gdyż łosie, choć ich teraz nie słychać, ale niedaleko zapewne odeszły od jeziora, i każę budzić wabiarza. Nie upłynęło kwadransa, gdy siadam do malutkiej łodzi, ze mną wabiarz. Noc zmaga się z dniem, nad jeziorem mgła, ale tak gęsta, jak wata: nie widać nawet przeciwległego brzegu. Cichutko, jak duchy, płyniemy wzdłuż jeziora. Nikt chyba w całej Polsce nie potrafi tak cicho jechać, jak mówią u nas, na „pych", lub na głębokiem miejscu wiosłując, jak poleszuk.

Leżąc w tej małej łódce, suniemy, jak widmo; nie uderzy wiosło o brzeg łódki, nie słychać, jak poleszuk wiosłuje. Nareszcie przejeżdżamy na drugą stronę jeziora i wychodzimy, na „chód".

Jak często przypominają mi się książki o łowach w dawniejszej Ameryce, o sławnych traperach, posiadających ten „szósty zmysł", który nazwałbym wszechwiedzącym, bo czytającym w wielkiej, tajemniczej księdze przyrody wszystkie przejawy — Boga, zwierząt i ludzi. To samo uczucie mam i tu, na Polesiu.

Idąc puszczą, czytam w niej, jak w księdze otwar-

tej. Dla mnie niema tajemnic; idę i widzę czy to momenty miłości, czy też nienawiści i zabójstwa, czy też wkroczenie do puszczy tego szkodnika nad szkodnikami — człowieka. A dziesiątki ogromnie wykształconych ludzi przejdą ze mną, lub z gajowymi i nic nie widzą. Powiedzą tylko: „kraj smutny", że są piękne „fotogeniczne" drzewa, ale że wytrzymać w puszczy niemożna z powodu komarów i wszów łosiowych, te ostatnie bowiem urządzają sobie czasem wyścigi wśród włosów na głowie.

Żałuję tych ludzi, gdyż natura jest prawdą, nigdy nie kłamie, jest najbliższą Bogu i tysiąckrotnie czyściejszą od ludzkości. Tu tylko można zaznać ukojenia bólu i znaleźć równowagę ducha, i ten dziwny spokój, którego objaśnić nawet nie umiem i nie śmiem, tej świętości puszczy poleskiej. Myślę, iż między czytelnikami, którzy te moje słowa przeczytają, znajdą się tacy, którzy sami to odczuli i zrozumieją mnie.

Idziemy „chodem". Przeszliśmy 100 kroków, stajemy i słuchamy. Jest cisza, ale co za cisza!...

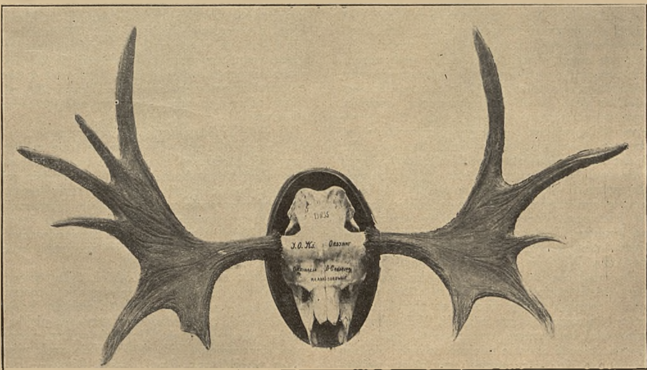
Czy słyszeliście kiedy ciszę jesienną w poleskiej puszczy, w starym lesie olchowym, gdzie trawy po pierś? Zdziwicie się zapewne, że pytam „czy słyszeliście ciszę". Tak, ciszę trzeba słyszeć. Jest w tem coś boskiego.

Stoimy: ciemno, nic rozróżnić nie można, tylko na wschodzie biała plama, coraz jaśniejsza. Człowiek cały przeistacza się w słuch. Niech gdzieś bardzo daleko trzaśnie gałązka — i to się usłyszy. Po chwili odezwał się mały gatunek sowy, później jakiś mały ptak, który daje znać, że dzień podchodzi.

Jakie dziwnie czyste powietrze dokoła, a przytem wypełnione zapachem rosy i zapachem różnorodnych kwiatów i roślin. Trawy, kwiaty, nawet grzyby w tym momencie silnie uderzają w nozdrza. Cicho wokoło. Słuchamy. Jakże długo w tej chwili wydaje się, że następuje dzień. Wtem o jakieś kilkaset kroków słychać, jakby ktoś kichnął. To łosza chrapnęła delikatnie. Po chwili ciche stękanie, poźniej chrop mocny, silny — to łoś swoim rywalom daje znać, że „on" tu jest i nikogo się nie boi, a dla nabrania odwagi i dania znać o swojej potędze rogami chwyta jakieś drzewko i zaczyna się nad niem pastwić. „Buszuje" — jest to u nas wyrażenie. I w razie, gdy byk dobry, aż echo niesie od tych jego badyli. Raptem słychać rujkę. W tym momencie musi nastąpić decyzja, od niej bowiem wszystko zależy. Jeśli udana, to — spotkanie z bykiem, jeśli zaś nie, to nic z tego, w najgorszym razie spłoszenie, „trwoga", powrót do budanu i ironiczne uśmiechy gajowych, którzy naturalnie trwogę słyszeli.

Stoimy i słuchamy. Mój wabiarz zaczyna się denerwować. Ja stoję i milczę. Słucham, jakbym cały tylko był słuchem. Przecież muszę zrozumieć czy to już rujka pełna — jeśli łosza potrzebuje łosia, stoi na miejscu i czeka na męża — czy są to zaloty — kiedy panna do ślubu jeszcze boi się podejść, wtenczas kwiczy, jak kobyła — która byłaby na jej miejscu, co zresztą jest dość podobne do rujki — i tylko człowiek lasu oceni te różnice. W tym wypadku był to rodzaj drugi. Zrozumiałem, że łosza jeszcze niechętnie odnosi się do zalotów narzeczonego i powoli posuwa się w pewnym kierunku. Patrzę na wabiarza, on na mnie. Jedna myśl, ta sama, u nas obydwóch: nie spudłować decyzji, spotkać się z bykiem. A ileż jest rzeczy, które mogą wszystko zepsuć. Wiatr, teren — czy można cicho przejść, czy kładka nie trzaśnie. Trzeba decydować. Sprawdzam wiatr: dobry. Według mego obliczenia muszą łosie przejść przez znany mi suchy ostrówek, między mokrym olchowym lasem. Niedarmo w tamtą stronę ruszyły. Zaczynam iść, za mną wabiarz; zrozumiał odrazu moje intencje, choć słowa nie powiedziałem. Słyszę tylko poza sobą jego słowa: „Na Makarow „suchmień" Książe chce iść?"... Skinąłem, że tak. Każde postawienie nogi musi być artyzmem, aby nie wywołać trzasku, a jeśli trafia ci się błoto, to też jak duch przejść trzeba, a gdzie trudno, gdzie jakiś dźwięk z tego zrodzić się może, czekaj przyjacielu aż zrobi się gwałt, trzask między łosiami, gdyż jedno pod tym względem pudło wszystko może zepsuć.

Posuwamy się wciąż na Makarow suchmień, aby tylko na niego wyjść. Jest to niewielka wyspa między błotami, szerokości 250 kroków, podłużna. Na niej rzadko stoją stuletnie dęby i jesiony. Widok daleki. O ile dojdę tu przed łosiami, a one namyślałyby się tu wyjść, napewno je zobaczę. Idziemy — i nareszcie wychodzimy. Jesteśmy na czas. Łosie, które nie domyślają się, że człowiek blisko, idą szumnie, łamiąc pod sobą wszystko. Doskakuję do grubego drzewa, wabiarza stawiam za sobą o 40 kroków. Wabić nie pozwalam, bo i pocóż? Słyszę doskonale, jak



Rosochy łosia, ubitego na tegorocznem rykowisku w Dawidgródku przez ordynata ks. Radziwiłła. Fot. Ajzenberg, Stolin.

całe towarzystwo ciągnie ku wysepce i ku mnie. Ukląkłem, aby mnie jeszcze mniej widać było. Wabiarzowi kazałem się położyć. Oddychamy głęboko. Ku temu są przyczyny: pierwsza to emocja myśliwska, druga to ciężkie podejście. Nareszcie uspokoiłem się, a łosie, jak grzmot, podchodzą, tratując wszystko w lesie, goniąc się i bijąc.

Stoję jakby na gołej wyspie, ściśniętej z obu stron gęstą, starą łozą. Rozumiem, że za chwilę przez te łozy, przez te moczary ukaże mi się jakaś sztuka. Czekam... coś podchodzi z ogromnym rwetesem i z łozy wysuwa się cień. Biorę lornetkę do oczu: łosza wyszła na wyspę, otrząsnęła się, jak pies, aż bryzgi poleciały z jej ciała, odwróciła się, popatrzyła wtył, głowę opuściła, pokiwała nią i zarżała, a później kłusem pobiegła. Przeszła odemnie nie dalej, jak o 50 kroków i wlazła do łozy, za wyspę. Serce bije, jak młot, gdyż słyszę przed sobą w łozie, skąd łosza wyszła, wab dwóch łosi i chodzenie ich po wodzie. Jeden głos ma cienki, drugi buka sobie pod nosem. wreszcie rozsuwają się łozy i widzę piękną sylwetkę tego antenata puszcz poleskich. Cały czarny, jak smoła, nogawice białe. Wychodzi na wysepkę, dochodzi do śladu łoszy, opuszcza głowę i wącha. Gdy głowę opuszcza, widzę piękne rogi typu jeleniowatego, na jednym rogu 6 pasemek, na drugim 5. Pasemka długie i grube. Żeby to ten łoś wyszedł na którego z mych gości, nie myślałby on nawet pół minuty, lecz napewnoby go zastrzelił. Ja rozumiem, że strzelać nie będę. I odrazu w tym momencie zaczęło we mnie górować uczucie hodowcy. Przypatruję mu się przez moją świetną lornetkę. Faktycznie wspaniały jest ten łoś.

Za nim, trochę z boku, wyłazi drugi, który ma po dwa pasemka. Wabi się bezustanku, rogami bije, co może, ale z pod oka patrzy, aby za blisko czy to do papy, czy też do wujaszka nie podejść. Stary stanął, nasłuchuje, wyciąga głowę, w nozdrza chwyta wiatr. Zaczynam i ja rozumieć jego intencje. Małżonka, czy też najpewniej narzeczona, wyprowadziła go z matecznika na dziwnie otwarte miejsce, zdumiał się byk takiej odwadze, woli więc wyczuć, czy niema niebezpieczeństwa. Stał, jak posąg, nie zawabiwszy z pięć minut. Później się uspokoił. Odwrócił głowę do swego rywala z ironją, powąchał ślad łoszy i pomalutku, z całą powagą za nią podążył.

Co za wspaniały widok takiego byka, który przechodzi od ciebie na 50 kroków, z broną na głowie, pełną chmielu i gałęzi, cicho postękując, po suchem, w całej swej okazałości. Łosie poszły, zagłębiły się za wyspą w łozę, dokąd poszła łosza. Wszystko zniknęło, ale serce nie mogło się uspokoić. Podszedłem pocichu do wabiarza, chcąc podzielić się z nim wrażeniami, ale on jest w takim stanie ekscytacji, że nie może mówić. Siadam więc i słucham. Słyszę, jak łosie, wlazłszy do łozy, tam się zatrzymały i zaczyna się tam jakaś bójka. W pierwszym momencie słyszę zdaleka, jak, wabiąc się, do kompanji podchodzi trzeci łoś. Co się tam działo, nie wiem, bo nie widziałem, ale że samo piekło musiało się tam otworzyć, to z pewnością. Po chwili widzę łoszę, która kłusem wybiega z powrotem, na jakieś już 150 kroków odemnie i ginie za wyspą, w łozie. Byki walczą dalej. Po głosie wabu poznałem, że trzeci byk nie może być rywalem naszego pięknego byka. Nareszcie w łozie poza nami wszystko się uspokaja. Przychodzi mi myśl, którą odrazu w czyn zmieniam, mówiąc memu wabiarzowi:

— Mój kochany, widziałeś sam przecież, że mięso mogłem zrobić, ale tylko moralnie łosia zabiłem. Sytuacja jest ciekawa. Łosza koło nas znowu przebiegła. Łoś, który skończył walkę, odnajdzie jej ślad, ciągnąć będzie za nią. Jestem ciekawy twego wabu. Uważaj więc mnie za gościa, który koniecznie chce zabić łosia i powtórz mi lekcje, które ci dawałem w Smorgońskiej Akademji, tylko bądź odemnie z tyłu na 100 kroków, gdyż inaczej łoś zrozumie, że to człowiek wabi.

Wabiarz nic nie odpowiedział, tylko oczy mu się zaświeciły. Stanąłem za dębem; wiatr mamy bokowy, dobry, wabiarz stoi o 100 kroków, kryjąc się. Przed nami, gdzie niedawno grzmiało piekło, cicho, jakby nikogo nie było. Poranek cudny, słońce podnosi się czerwoną kulą. Stoję, daję znak ręką. Wabiarz zawabił raz, drugi, trzeci. Cisza — słuchamy — nic. Przeczekaliśmy ze trzy minuty. Każę buszować (udawać łosia, który łamie gałęzie) — nic. Po



Rosochy łosia, ubitego na tegorocznem rykowisku przez p. Fr. Edmond Blanc w Rzepichowszczyźnie Jarosława hr. Potockiego. Fot. J. Raczyński.

chwili każę wabiarzowi odwrócić się tyłem do łosia i chropnąć, jak łosza. Odpowiedź łosia nastąpiła momentalnie. Łoś gromko chropnął i zawabił. Stoję. Słyszę, jak łoś idzie po błocie i łozie. W pewnej chwili rozumiem, że łoś chce obejść mnie z lewej strony, aby dostać się do mnie pod wiatr. Daję znak wabiarzowi, który mnie świetnie rozumie, aby odszedł na prawo i zawabił. Łoś zawraca ze swego kierunku i podąża prosto w moją stronę. Po chwili widzę go już na wysepce, jest o jakieś 120 kroków. Czuję się w siódmem niebie. Łoś, postękując, idzie, buszuje, a gdy stanie i nasłuchuje, mój wabiarz, pamiętny moich lekcyj, nachyliwszy się kompletnie do ziemi, a ręką nakrywszy otwór trąby, stęknie raz jeden. Łoś idzie.

Zaczynam uważać, że wabiarz robotę swoją skończył i nie powinien dalej drażnić byka, ale byk swoje, a on swoje. Byk idzie, coraz jest bliżej mnie. Słońce tymczasem coraz wyżej. Byk już jest odemnie o 50 kroków. Co za wspaniały widok! Na suchem, w całej swej okazałości, to wabiąc się, to buszując, idzie ten ostatni żywy jeszcze w Polsce zwierz, przepyszny król tej krainy. Głowa dość opuszczona, oczy krwią nabrzmiały, cały chyb podniesiony, (chyb jest to najwyższe miejsce grzbietu, porośnięte długą i gęstą szerścią, która w czasie wabu podnosi się u byka), sam mokry, a z niego całego idzie para. Nigdy w życiu nie napatrzyłem się tak na łosia.

Ale łoś coraz bliżej i bliżej, a jak mówiłem, łoś sobie stęka, a wabiarz sobie. Nie mogę już dać znać, aby wabiarz przestał stękać, gdyż łoś już tak blisko, że ruch mój zobaczy, a wtenczas urządzi swą „trwogę", że przy tym cudownym cichym ranku niewiadomo gdzie słychaćby było. Szkoda takiego zwierza płoszyć, więc wściekły już byłem na wabiarza.

Stoję przyrośnięty do dębu. Sytuacja zaczyna się robić bardzo niemiła. Pomyślcie sobie, mieć przed sobą takiego zwierza, widząc, że jest wściekły! Łoś idzie, nareszcie dochodzi na 12 kroków (jak później skonstatowaliśmy). Strzelać nie chcę, ale myślę, że, jeśli jeszcze da kilka kroków w moją stronę, może będę musiał dla własnego bezpieczeństwa to zrobić. Po chwili byk odwraca się na prawo i przechodzi koło mnie formalnie o 10 kroków. Wabiarza już nie słyszę. Gdy tylko łoś przeszedł i miałem możność go dalej obserwować, widzę byka, który postękując idzie, ale wabiarza nie widzę.

Łoś przeszedł, po chwili widzę mego wabiarza z gębą, jakby to było słońce samo, który podnosi się z trawy, podchodzi do mnie i mówi:

— Teraz i sam widziałem i rozumiem, że mego wabu to łoś i na 15 kroków nie odróżni. (Nawiasem mówiąc, łoś przeszedł koło niego o 15 kroków).

Siedliśmy, zapaliliśmy: ja fajkę, wabiarz skręcił sobie, jak oni mówią, „cygarku". Nie rozmawialiśmy, bo czyż w takiem sanktuarium mówić można, a później przecież każdy z nas miał w duszy tyle przeżyć, że je sam w sobie pogrążał.

Słońce już stało wysoko, gdyśmy dojechali do budanu. Tu wabiarz nie wytrzymał, podszedł do mnie, objął mnie, dziękując za lekcję Smorgońskiej Akademji, a ja powiedziałem mu, że od tej chwili wyznaczam mu rangę wabiarza. Jest to honor wielki, gdyż tylko on tę godność dotąd piastuje, a wypadek ten stał się w czasie wabu łosi w roku 1934.

Kosztowało go to drogo, gdyż kiedy przyjechałem tego dnia do głównego mego zbornego punktu na Hołowy i opowiedziałem zebranym tam gajowym, iż wyznaczyłem tego gajowego na wabiarza, podrzucili go do góry bez ceremonji kilka razy tak, że ledwie na nogach stał, a później musiał się im wykupić 3-ma litrami wódki.

Kończac, zapytam czytelników, czy nie piękne to było spotkanie?

KAROL RADZIWIŁŁ.



Rosochy łosia, ubitego przez p. Stefana Steinhagena na tegorocznem rykowisku w Rzepichowszczyźnie Jarosława hr. Potockiego.
Fot. J. Raczyński.

JAK PRZYPADKIEM ZABIŁEM ŁOSIA.

W początku września 190... r. znalazłem się w głębi odwiecznych borów świerkowych w gub. nowogrodzkiej, dokąd przybyłem na zaproszenie mego przyjaciela i starszego kolegi jeszcze z ławy szkolnej, Antka Z., który już od roku mieszkał w tej głuszy leśnej, prowadząc z ramienia rosyjsko - angielskiego konsorcjum eksploatację wielkich bogactw leśnych.

Było to prawdziwe eldorado łowieckie, pełne wszelakiego ptactwa i zwierza. Toteż już drugi tydzień siedziałem tam, rozkoszując się urokiem dzikiej, nietkniętej przez cywilizację przyrody północnej i od rana do wieczora, o ile tylko dopisywała pogoda, spędzałem czas na polowaniu. Ponieważ mój amfitrjon z powodu swych zajęć zawodowych niezawsze mógł w polowaniu brać udział, przeto nieodstępnym towarzyszem mych łowów był doświadczony myśliwiec miejscowy, leśnik Aleksiej, chłop o głowę odemnie wyższy i bezmała dwa razy w barach szerszy. Czytał on w lesie, jak w otwartej książce i obyczaje ptactwa i zwierza znał nawylot.



Rosochy łosia, ubitego na tegorocznem rykowisku przez p. Teodora Endera w Rzepichowszczyźnie Jarosława hr. Potockiego. Fot. J. Raczyński.

Pewnego ranka, gdy już słońce zabłysło nad wierzchołkami niebotycznych chojarów, otaczających osadę leśną, w której gościłem, wszedł do mego pokoju Aleksiej i stanął w służbistej pozie u drzwi. Zapytałem go, jaki ułożył na dzień dzisiejszy program.

— Twoja wyżlica Cytra — odrzekł mi — przebiła wczoraj łapę na sęku i naderwała sobie pazur, tak jej trzeba dać ze dwa dni odpoczynku, niech się łapa zagoi. A namby z tobą, barin, dziś pojechać się zdało nad Czarną Rzeczkę. Miejsce tam ja znam jedno — strach, wiele szczupaków się wodzi. Ja już na nich „dorożkę" naładził.

Na zapytanie moje, co to jest „dorożka", objaśnił mnie Aleksiej, że jest to rodzaj mocnej wędki, u końca której obok haczyków umocowana jest błyszcząca metalowa blaszka w kształcie rybki. Gdy pociąga się tą wędką po wodzie, na rybkę rzucają się szczupaki i inne ryby drapieżne.

Propozycja przypodła mi do gustu, toteż w niespełna godzinę potem jechaliśmy już wygodnym „tarantasem" ku owej rzeczce. Tarantas jest to ekwipaż, w którym koszyk z siedzeniami umieszczony jest na długich, gibkich listwach jesionowych. Za tarantasem biegły dwie „łajki" Aleksieja — gatunek psów syberyjskich, używany tutaj do polowania na ptactwo i do tropienia zwierza. Oczywiście zabrałem swoją magazynkę Browninga kal. 12 i pas z ładunkami śrutowemi, do którego zatknąłem kilka ładunków z kulami Jackana, bo o spotkanie w tych borach z grubym zwierzem wcale nie było trudno.

Po godzinie jazdy stanęliśmy na skraju szerokiej polany leśnej — przeciwległym brzegiem jej płynęła Czarna Rzeczka. Kazaliśmy wiozącemu nas chłopakowi, Pietruszce, tutaj zatrzymać się, a sami udaliśmy się ku rzece. Aleksiej wyciął z suchodrzewia dużą tyczkę i obsadził na niej swoją „dorożkę", poczem, stanąwszy nad jednym głębszym odmętem w zakręcie rzeczki, zaczął wędką pociągać po wodzie. Już za drugim zarzutem wyrwał z wody na brzeg pokaźnego okonia, a po chwili z wysiłkiem wyciągnął potężnego szczupaka.

Zabawialiśmy się już bezmała dwie godziny tem rybołóstwem, chodząc od zakrętu do zakrętu, gdy wtem usłyszeliśmy wołanie Pietruszki. Pobiegliśmy szybko ku koniom, pytając chłopca, co się stało. Pietruszka, niezmiernie podniecony, opowiedział nam, iż przed chwilą na polanę, na jakieś sto kroków przed końmi, wyszedł ogromny łoś, popatrzył sekundę na konie, które zastrzygły uszami i spokojnie, bez pośpiechu zawrócił w gąszcz olszyny, skąd się wynurzył.

W tym momencie z innej strony wyszedł na polanę drugi leśnik, Iwan, który zrana otrzymał rozkaz, aby koło południa przyjść na miejsce naszego rybołóstwa. Jednocześnie kręcące się koło nas „łajki" Aleksieja trafiły na trop łosia i ze zgiełkliwym jazgotem pomknęły w gąszcz.

Złożyliśmy naprędce radę wojenną. Obaj leśnicy zgodnie twierdzili, że łoś kierował się na drugą stronę rzeki, do lasów rządowych i że teraz, goniony przez psy, obłoży dużem kołem na prawo i, chcąc oderwać się od psów, przejdzie szerokiem błotem, dochodzącem do rzeczki poniżej Cielęcego Brodu.

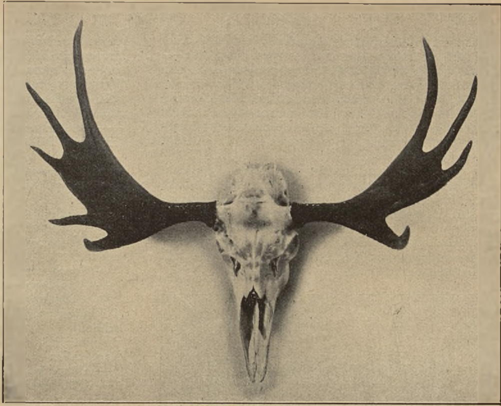
— Do Cielęcego Brodu, barin — rzekł mi Aleksiej — nie będzie więcej, jak 4 wiorsty w górę rzeczki, a do błota jest bliżej. Tym brzegiem nie dojdzie, bo trzęsawisko, ale ty, barin, przejdź na drugą stronę po bierwionach, rzuconych przez rzeczkę, które ja niedaleko widziałem za tym dużym zakrętem, a po tamtej stronie wszędzie suchy i wysoki brzeg. Biegnij, barin, prędko i nasłuchuj gonu psów, a jak głos pójdzie na ciebie, zatrzymaj się i czekaj na łosia. My pójdziem za psami, a Pietruszka pojedzie do dużego traktu, a tam wykręci na drogę, co idzie do mostu na

rzece wyżej Cielęcego Brodu i u mostu będzie na nas wszystkich czekał.

Po chwili obaj leśnicy znikli w lesie, kierując się na oddalający się głos psów, a ja, przeprawiwszy się na drugi brzeg, zacząłem co tchu biedz w górę rzeki.

Biegłem tak z odpoczynkami już dość długo, gdy naraz zauważyłem, iż po przeciwległej stronie rzeczki łąka stopniowo zamienia się w pokryte mchem trzęsawisko, zrzadka porosłe kosodrzewiną.

Zatrzymałem się, nasłuchując. Daleko, daleko słychać było gon psów, który szedł jeszcze dalej na prawo. Przebiegłem znowu kilka stajań i znów stanąłem. Gon słychać było jakby wyraźniej i szedł on na mnie. Rozładowałem magazynkę z ładunków śrutowych, założyłem cztery ładunki z kulami i rozejrzałem się za wyborem sobie stanowiska. Opodal nieco samotnie stał duży świerk z konarami, zwisającemi do samej ziemi. Tam się zaszyłem w środek gałęzi, zrobiwszy sobie lukę wśród nich dla widoku na trzęsawisko. Gon dochodził już wyraźnie. Zmierzyłem okiem odległość odemnie do rzeczki. Nie było więcej, niż 50 kroków. Nie przeszło pół godziny, gdy o jakie 500—600 kroków prawie wprost przedemną pod lasem, na skraju trzęsawiska, zamajaczył ciemny kontur olbrzymiego zwierza.



Rosochy łosia, ubitego na tegorocznem rykowisku przez Pana Prezydenta Rzplitej w Puszczy Rudnickiej. Fot. J. Raczyński.

Łoś szedł przez topielisko, jak po równej łące i walił wprost na mnie. Zdala za nim z tyłu dochodził głos psów. Serce ze wzruszenia pchało mi się do gardła, ale opanowałem je po chwili, czekając, aż łoś dojdzie do rzeki. Szedł powoli, chwilami przystając i nasłuchując psów. Doszedł do rzeki, przebrnął ją nieco naukos, ukazując mi cały bok, wyszedł na brzeg, postąpił kilka kroków, otrząsnął się z wody i głęboko prychnął chrapami.

Nie czekałem dłużej. W momencie, gdy muszka lufy mej broni znalazła się nawprost prawej łopatki zwierza, nacisnąłem cyngiel. Buchnął strzał, stokrotnem echem odbijając się w lesie a potężny rogal, dawszy dęba, zwalił się, jak ścięty pień drzewa, na bok, grzebiąc tylnemi nogami w ostatnim skurczu agonji. Efekt mojej kuli był wyjątkowo szczęśliwy.



Rosochy łosia, ubitego na tegorocznem rykowisku przez p. J. Zaborowskiego w nadl. Wiado. Fot. J. Raczyński.

Był to wspaniały okaz wielkości największego konia. Jego potężne rogi po dziś dzień zdobią ściany przedpokoju w skromnym dworku wiejskim mojej siostry na Pomorzu.

W dwie godziny potem nadeszli leśnicy i wzięli na obroże psy, które musiałem ciągle odganiać od łosia, aby nie poszarpały skóry.

Iwan został przy łosiu, a my z Aleksiejem poszliśmy ku koniom czekającym o wiorstę wyżej u mostu, aby jak najprędzej dojechać do osady i wysłać wóz z ludźmi dla zabrania łosia.

Zabiłem potem jeszcze w mojem życiu kilka łosi, ale ten pierwszy, olbrzym puszcz północnej Rosii, był fenomenalnym co do wielkości okazem.

ST. P. W.

PONOWA.

Zima już była nadeszła, lecz drogi nie było jeszcze, choć słońce od długiego czasu nie wyjrzało z poza ciężko wlokących się chmur ponad puszczą. Może to ona wyprosiła, by nie opuściły białego całunu na ziemię, strzegąc zazdrośnie tajemnic swoich mieszkańców. Jeziora i rzeki pokrył gruby lód, nawet leśne mszary i bagna, od spodu których idzie wieczne ciepło, ścięły się w twardą skorupę, że człowiek nawet i koń mógł łatwo się utrzymać.

Że to jesień przeszła nadzwyczaj mokra, więc drogi, w których porobiła wyrwy, stanęły ostrą i głęboką grudą. Rzadko kto ośmielił się wyjechać ze wsi poza puszczę, do pobliskiego miasteczka. Jakto? — konia okaleczyć? — a kuć na ostro i tak nie warto, bo zaraz się stępi. Czekali ludzie śniegu, już i Boże Narodzenie minęło, a śniegu nie było i nie było. Tem cięższej dla myśliwego...



Pewnego ranka, a już był styczeń, obudziłem się i zobaczyłem przez okno, choć ciemno było jeszcze, że znikł dach stojącej obok chaty. To śnieg w półmroku zlał się z kolorem nieba. Sanna już. Trzeba posyłać po p. Stankiewicza, człowieka bywałego, jako że podczas wojny po świecie się tułał i ojcowie jego i dziadowie po różnych panach na dzierżawach siedzieli.

Obok słychać szmer podsuwanych do pieca garnków: to Fania gotuje śniadanie. Cieszy mnie, że za chwilę zobaczę jej czarne, wesołe oczy, że puszcza wokół ciągnie się het, daleko.

Odległa jest droga do ludzi i nikt tu nie zdąża. Papierowe ozdoby, co wiszą nad łóżkiem, nabierają kolorów. Już dzień. Pukam w ścianę i wbiega zaraz Fania, bosa, niosąc gorące mleko. Co to może śnieg! Wszyscy są radzi i Fania opowiada, jak zaczęło sypać w środku nocy, naprzód pomału, a potem nosa nie można było wytknąć, tyle płatków leciało z nieba.

— Leć, Faniu, do Stankiewicza, niech zaraz tu przyjdzie. Tylko nie boso! — zatrzymuję ją na progu.

Fania stoi, jakby zawstydzona.

— Niema wojłoków — mówi po chwili.

— Jak pojadą do miasteczka, to ci przywiozą. Jedzie ktoś?

— Jedzie gospodarz i Bandarychowy brat.

— To powiedz, żeby do mnie przyszedł.

Lecz Fania nie rusza się z miejsca, nie śmie o coś zapytać.

— Co chcesz, Fania?

— A jakbym stąd odeszła, to czyje będą wojłoki?

— Ach tak, to już chcesz odchodzić, wojłoki na nogi i hajda w puszczę, do siebie, na hutor. Fe, nieładnie!

Fania śmieje się i wybiega. Zaraz też przychodzi Stankiewicz i wie już o co chodzi.

— Dokąd pojedziemy? — pyta.

— Ot tak, prosto przed siebie. Trzeba zobaczyć, czy niema śladów wilczych, gdzie lisy mają swoje przechody, może się trafić ślad rysia, to możnaby go objechać.

— Wola pańska.

— A zresztą wszystko jedno, prosto przed siebie, byle sanny użyć i zobaczyć, jak to śnieg na drzewach wygląda, bo to się już dawno zapomniało.

Mrużą się małe oczka, jakby przytakiwały tej śnieżnej fantazji, bo p. Stankiewicz stara się w lot wyczuwać wszystkie nastroje.

— Tylko dużo siana do sań, panie Stankiewicz.

— To już wiadomo i ciepła derka będzie na nogi.

Obraca się służbowo i cicho wychodzi, jako że nie wypada stukać obcasem.

Ubieram się pośpiesznie. Przez okna widać świt pogodny i mroźny. Z chat idą, kłębiąc się, dymy prosto w górę i odbijają ciemnym fioletem od zaróżowionego nieba, od którego śnieg pociemniał na dachach. Dużo go też może spaść przez noc i kiedy powietrze ciche, ułoży się równo, że na załamaniach ciągnie się równą linją. Od nieba, cały świat zdaje się skąpany w różowem świetle, a że wschodzące słońce, zakryte przez mgły, nie daje jeszcze cieni, więc drgają tylko fioletowe półtony. Na grudzie śnieg, co leży na niej nierówno, mieni się całą ich gamą. Drzewa w sadzie wydają się czarne na pomarańczowo-zielonym horyzoncie. Oto widać, że pies biegł koło okna i przechodząca baba zostawia za sobą ciemne wgłębienia. Skrzypią żórawie, zawadjacko przejechało dwoje sań, odżył zamarły światek.

Pan Stankiewicz pośpieszył się i zajeżdża. Nieodzowna strzelba do lasu, parę ładunków i siedzę już w sankach, szczelnie ale ostrożnie, widać, że nie przez byle kogo, otulany derką. Ale teraz problem gdzie jechać przedstawia się poważnie. Można przejechać wieś, a potem kawał polem do lasu, w kierunku, gdzie wilki mają swoją stolicę i słychać często, jak wyją po nocach. Lecz dostać się tam koniem nie można upewnia p. Stankiewicz, gdyż na jakimś Berezelcu mszar nigdy nie zamarza. Proponuje więc jechać zimową drogą, która idzie przed chatą na las, co stoi tuż, a za nim mają się ciągnąć łąki i mszary. Tam też i ryś lubi się trzymać i ma być sporo cietrzewi. Jedziemy tam. Wygodne są sanki kresowe, można w nich leżeć i patrzeć, jak śnieg tuż pod ręką sypie się z płóz.

Wjeżdżamy w las. Musi być wiosną niedostępny, bo gładko suną sanki po lodzie i sterczą wokół karłowate sosny. Mijamy polanę, za nią las wysoki, w którym

znaczą się żółto na tle śniegu brzozy i grzybem poubierane w dziwaczne formy osiki. Za lasem już łąki. Serce się do nich wyrywa, takie są piękne. Rozległe są pod horyzont i dalej je widać tylko po stogach, które coraz mniejsze i mniejsze giną, jak punkty, pod wąską smugą sinego lasu. Jakby ktoś umyślnie rozrzucił kępami drzewa po całym tym bezmiarze. Przysypane śniegiem trawy w dali zdają się żółtem jeziorem. Nowe miejsca są zawsze tajemnicze, dają nadzieję. Zdaje się, że zaraz przed nami zaświeci brózda, kędy szedł równy ślad rysia czy wilka, lub dzik, idąc, przeorał śnieg.

Lecz śladów jest mało. Puste są lasy kresowe, jak na ich obszary. Tylko od czasu do czasu bielak przesadzi drogę i jakiś zbłąkany lis od jednych pól ciągnie ku drugim. Słońce już wyszło zamgloną, czerwoną kulą i stogi i kępy od wschodu płoną od niego.

Jadą ku nam sanie z sianem, kołyszą się na łące, jak czółno na fali. Minęły nas. Ale oto stado cietrzewi. Kilka ich siedzi na stogu, na ziemi przechadza się cała gromada. Nieprawdopodobnie czarne zdają się koguty na świeżym śniegu. Jest coś śmiesznego, kiedy człowiek stara się ptaka oszukać. Umiłowanie przyrody nie wystarczy mu jednak — bez określonego celu. Uczucie zwycięstwa jest nagrodą, jakie daje mu ona za miłość do niej. Lecz p. Stankiewicz, mimo moich poleceń, jest widać zdania, że im prościej pojedziemy, tem prędzej będziemy u celu. Tymczasem stado się zrywa i odlatuje na dalsze stogi. Jedziemy za niemi, ale ostrożne, nie dają się podjechać.

Zapuszczamy się coraz dalej i dalej na łąki. Oto ostrów, który zdala wydawał się kępą drzew. Niemały jest, płynie nad nim jastrząb.

— Oto nasza granica — wskazuje batem p. Stankiewicz — tam las grafini, tamto wioskowe, a ta chata pod lasem to gajówka Ściborska. Niedaleko stąd i majątek.

— Mieszka tam kto?

— Siedzą panowie, a gdzieby mieli być. Tylko im ziemi mało zostało, tylko te lasy bagniste. A jeżeli pańska chęć, to możemy tam zajechać, zdawna są mi panowie znajome. Ot, kiedy byłem mały, to stary pan za tym ostrowem niedźwiedzia zabił.

Ale znowu widać cietrzewie: siedzą na brzozach i skubią ich pędy. — Walaj, panie Stankiewicz! Patrzą na nas spokojnie, jako że jedziemy ku nim ukosem. Zrywa się pierwszy kogut, lecz siada blisko na drzewie. Już można strzelać. Szturcham w plecy — stajemy. Trach! Całe stado, jak błyskawica znika za ostrowem. Co się stało? Lufy nie przetarte z oliwy.

— Trudno i trafić—pociesza p. Stankiewicz. Pewno myśli, coby to było do biegnącego zająca. Lecz człowiek staje się zawzięty po niepowodzeniu. Trzeba spróbować dogonić ptaki. Siedzą tuż za ostrowem. Pewno także nie wierzą w niebezpieczeństwo mej strzelby, bo już jesteśmy blisko. Strzelam. Wali się kogut ze stogu, drugiego spuszczam w lot.

— Sławnie — brzmi pochwała i p. Stankiewicz puszcza się pędem po zdobycz. — Sam tłuszcz — chwali, przynosząc. — Tietieruki możnaby zawieźć do dworu, bo to i łąka Ściborska.

— A możnaby.

Sanki biegną prędko po lodowej ścieżce, zostawiając na bezbrzeżnej równi blaski odrzuconego śniegu i cienie, kędy szły płozy i kopyta końskie. Las ciągnie się po obu stronach łąki, zdaje się ją zamykać, by dać jej wąskie przejście i nagle ucieka na obie strony, zwyciężony polami. Te drzewa, co stoją szeregiem, to musi być majątek. Tak też i jest. Skromnie wygląda, nawet drzew niedużo, choć te, co stoją, są stare i piękne. Lipy naturalnie. Już widać dwór. Musi to być dawna oficyna, bo podobna jest do dużej chaty. Coś się przed nim dzieje. Stoi kilka sań i cała gromada ludzi.

— Ot, dobrze trafiliśmy — mówi Stankiewicz — jadą na ochotę.

Głupio jakoś do nieznajomych zajeżdżać, ale wracać już późno. Podchodzi parobek i pyta do kogo.

— Panowie w domu?

— A w domu i gości jest. Oto pan idzie od gumna.

Zbliża się ku nam starszy mężczyzna z siwemi wąsami, czerwony na twarzy, nie-rubaszny, ale jakby przygasły. Może ubiór, miejscami nawet łatany, robi to wrażenie. Poznał Stankiewicza, kiwnął mu przyjacielsko głową, ten do niego podchodzi i coś mu tłomaczy. Pewno prezentuje moją osobę. Zbliżam się i mówię, że, będąc na polowaniu, pozwoliłem sobie do niego zajechać, wspominam coś o zabitych u niego cietrzewiach.

— Bardzo dziękuję, świetnie się składa, urządzamy małe polowanie, proszę do domu.

Po trzeszczących, dziurawych schodach wchodzimy na ganek.

— Zna pan polowania kresowe? Więcej nadziei, niż rezultatu — mówi gospodarz — ale jest odyniec, nielada gratka, bo jedyny na całe Brasławskie.



Przeszliśmy nieopalony, pusty salon i wchodzimy do miłego pokoju, gdzie jest sporo osób. To sąsiedzi zjechali się na umówione po pierwszej ponowie polowanie. Dwóch z nich zrobiło aż 30 klm. Dzik jest głównym tematem rozmów. Ma to być sztuka dwudziestopudowa. Jakiś pesymista twierdzi, że stracił już pół wagi i że śladu nie da. Parę kieliszków starki daje jaśniej patrzeć na bliską przyszłość. Dzik z pewnością będzie mój, widzę już jak brnie czarna masa w śniegu. Wzrok mój pada na wiszący na ścianie obraz. Zdaje mi się przez chwilę, że się łudzę. Tu, w tej rupieciarni, prześliczny portret pani z XVIII wieku. Wysoko zaczesane, pudrowane włosy, figlarne czarne oczy uśmiechają się, jakby ubawione mojem zdziwieniem, podniesione kąciki ust dają wieczny uśmiech. Zamknięta w złotych ramach, nie widzi tego zniszczenia, uśmiecha się do dawnych swoich czasów. Bo pewno w dni codzienne jest tutaj szaro i nudno. To nie tak, jak dziś, kiedy spadł pierwszy śnieg i zdaje się ludziom, że coś się zmieniło w ich życiu. Jakże świetnie malowana jest przezroczysta chustka na ciemno-zielonej, głęboko wyciętej sukni.

Dla tego domu pani ta jest, jak ów śnieg na pola i lasy, że zaraz w nim wszystko poweselało. Nie rażą

już kulawe meble i dziewczyna od krów, która roznosi herbatę.

Przyjechał ostatni oczekiwany myśliwy. Czas już wielki — takie krótkie dni. Pan Stankiewicz czeka przy sankach, gotowy zawsze spełnić swoje ważne zadanie. Rusza sznur sanek. Ktoś chce drugich przegonić i wpada w rów. Wszyscy krzyczą i śmieją się. To słońce pewno tak działa, bo wypłynęło z poza mgieł, aż ślepną oczy, tak miga światłami na śniegu. Wzdłuż drogi, od ludzi, koni, i sań suną czarne cienie.



Łoś, ubity przez Xawerego hr. Pusłowskiego w Pieskach 25.IX 1935.

Z wjazdem do lasu budzi się dusza myśliwska, wypatruje się śladów, przypuszcza się możliwość tej lub innej zwierzyny. Stajemy. Już pierwsze stanowiska. Stoję na samej flance. Przedemną świerki śnieg tak przykrył, że tylko małe rąbki nieba widać wśród nich. Przy roziskrzonym śniegu wydaje się granatowe. Czasami osunie się z gałęzi puch, a miljon iskier wiruje i gaśnie. Las jest, jak zaczarowana dekoracja. Nie można odróżnić pojedyńczych drzew ani gałęzi i dobrze się trzeba wpatrywać w siłę niebieskich cieni, ażeby wiedzieć, które są bliższe. Słychać już, jak naganka uderza kijami.

Aż tu — jakby kawał śniegu oderwał się i toczył po ziemi. Prędko, prędko! Bielak przystanął, rzucił się w bok. Trach! Trach! Biała kula przemknęła przez drogę i znikła. Aha, obok mnie stoi panna domu.

Naganiacze uderzają coraz wyraźniej kijami. Wśród bieli miga przedemną ruda plama. Pokaże się za chwilę za drzewem. Nie, znikła w gąszczu. Teraz lis sadzi prosto na mnie, zobaczył mnie, skoczył w górę, jakby dając sobie chwilę namysłu na ostateczną decyzję. Rwie już jego długa kita wśród drzew. Trach! Posypał się tylko śnieg z gałęzi. Spokojnie!.. Strzelam drugi raz. Nie widać już rudej plamy. Nie wiem, co się stało. Naganiacz podchodzi i pochyla się w miejscu, gdzie go strzelałem. Jest! Biegnę tam. Leży martwy stary, piękny samiec. Zbierają się myśliwi, niektórzy widzieli mego lisa, jak skradał się wzdłuż linji.

Drugi miot mija bez wrażenia. Ktoś chybił do jarząbka. Dopiero następny skupia całą uwagę, ma się tam znajdować osławiony odyniec. Dwa są tylko sztucery, reszta myśliwych ma żakanowskie kule. Długo jedziemy na nowe stanowiska. Stankiewicz bawi mnie opowiadaniem, jak to z Brasławia na obławę wilczą przyjechali urzędnicy.

— Przed pędzeniem, jeden pyta drugiego: — Widział go kolega? — Nie, tylko na fotografie. To potem jak na nich wyszły, dziwili się. — Widział kolega uszki sterczące, ogonek długi? — A wilki jak wyszły, tak poszły! Takie myśliwe!

Stają sanki. Tylko parę słów przyciszonym głosem. Ciągniemy numery. Znowu jestem na flance, mam numer 8. Niema tu świerków, zaplątany gąszcz łozy nie daje nic widzieć. Przedemną, po białej koronce sterczących ku niebu gałęzi można rozpoznać całą jego zawartość. Wolna linja, na której stoję, jest kanałem, czy też rzeczułką. Żeby iść po niej, trzeba ciągle głowę pochylać i rękoma odgarniać gałęzie. Cały jestem biały od śniegu. Gajowy wskazał mi stanowisko i zniknął w wysokim lesie, który ciągnął się niedaleko. Dwie sroki podnoszą się i opadają. To jedyne widoczne życie, bo śladów żadnych niema i na błękicie ani jednej chmurki. Czy między nami a naganką znajduje się zwierz? Może nie dzik, może ryś lubieżnym ruchem rozciągnięty leży po nocnej uczcie na kępach niszaru, może gdzieś stado wilków przyczaiło się w gąszczach. Niechby tu były, właśnie tu, gdzie cała natura dziką swoją pierwotnością nie powinna pozostać martwą. Jakbym już widział w szalonym pędzie sadzącego dzika. Sroki nie spostrzegły mnie, skaczą z gałęzi na gałęź, zrzucając pylący się śnieg.

Pierwszy odgłos naganki, daleki jeszcze. Tem lepiej, cała zostaje nadzieja. Jakże zwinne są sroki: spuszczają się w dół, nie dotknąwszy skrzydłami gałęzi. Czego tu mogą szukać? Widzę nagle, że od wysokiego lasu biegnie gajowy, robi rozpaczliwe ruchy rękami, by odgarnąć gałęzie.

— Co się stało?

— Dzik, panie, wyleciał i poszedł wysokim lasem.

— To poszedł, a czego płoszycie, biegnąc po linji. Stójcie tu. Może jeszcze coś będzie.

Gajowy, który stracił głowę, przystaje. Krzyki naganki są coraz bardziej wyraźne. Nie będzie już nic. Może lepiej, że zostanie w puszczy jedyny przedstawiciel dziczego rodu. Tem większy będzie jej urok. Trach! Trach! strzelają na linji dwa razy. Może do wilków?

Przez gąszcze przedziera się ku nam naganiacz. On to właśnie dzika spłoszył.

— Panoczku, jaki wielikij, sowsim czornyj, kak czort!

Ściągamy ku myśliwym. Strzelano na drugiej flance, nie wiedzą do czego. Na dróżce widać zdala pochylonych ludzi. Już wieść niesie, że to tylko bielak. Osądzono, że późno już dzika tropić. Niech żyje jeszcze, na przyszły raz lepiej się uda.



Fr. Edmond Blanc ze swym bykiem, ubitym w Rzepichowszczyźnie Jarosława hr. Potockiego.

Nie wracam do majątku, bliższa droga prowadzi przez puszczę. O jakże pięknie w niej. W mieście zdeptali ludzie śnieg, niektórzy może nie wiedzą nawet, że spadł. Jak dobrze, że taka daleka do miasta droga. Na zachód słońca wyjeżdżamy z puszczy na polanę, na której leży moja wieś. Na drodze ktoś stoi. To Fania wybiegła pochwalić się, że ma już wojłoki.

Skrzypią zdala żórawie. Cisza i spokój.

JAN TYSZKIEWICZ.

Z RYKOWISKA ŁOSI 1935 R. W ORDYNACJI DAWIDGRÓDECKIEJ.

Po miesięcznym pobycie w puszczy zamknąłem tegoroczny sezon wabu łosi. Stwierdziłem ku mojej wielkiej radości, że stan łosi w Ordynacji Dawidgródeckiej powiększył się ilościowo bardzo znacznie. Nie to, co dawniej, gdy spotkanie łosia uchodziło za rzecz rzadką.



Tegoroczny rekordowy byk p. Stefana Steinhagena, ubity w Rzepichowszczyźnie Jarosława hr. Potockiego.

Przez cały czas wabu nie było dnia, w którym goście moi, lub ja osobiście, nie widzielibyśmy tego zwierza. Również gajowi, pozostający, jak corocznie, na wyznaczonych posterunkach, meldowali codziennie o spotkaniach z łosiem. Zwracała uwagę okoliczność, że wszyscy widzieli przygniatającą większość byków młodych, posiadających od jednego do czterech pasemek na każdym rogu. Uważam to za objaw zupełnie naturalny.

W ostatnich paru latach łosie rozmnażają się w bardzo zwiększonem tempie. Jasnem jest tedy, że musi być ogromna przewaga młodzieży. Zmienia to poniekąd, a nawet znacznie, charakter łowów. Dawniej spotkanie byka było rzadkością, lecz zato istniała większa szansa spotkania takiego, do którego już można strzelać. Tymczasem teraz młode byki rozpędzają stare. Jako przykład, sam naocznie widziałem w tym roku dobrego łopatacza, który uciekał, jak mógł, przed dobrze wyrośniętemi rogami łosia typu jeleniowatego, który miał po cztery pasemka.

Ostatni sezon obfitował w spotkania, wraz z moimi gośćmi widzieliśmy byki każdego ranka i każdego wieczoru, lecz w olbrzymiej większości były to spotkania jałowe, nie do strzału.

Niecierpliwi się serce myśliwego, cieszy się natomiast dusza hodowcy. Tembardziej, że łosz widziało się sporo, a co najważniejsze, jałowych prawie nie spotykaliśmy. Przy każdej było po jednym, lub po dwa łoszuki. W każdym razie wszystkie sztuki, obserwowane lub zabite, fizycznie doskonale wyglądały i nie widzieliśmy ani jednej chorej. Przyrost wyprowadzony z tych obserwacyj winien wynieść 1,25 w stosunku do jednej łoszy.

Szczęśliwie wilków prawie nie było, bo meldowano mi tylko o dwóch sztukach. Dopiero powróciwszy do Mańkiewicz, dowiedziałem się, że niedaleko granic Ordynacji pojawiło się stado, złożone z 5-u sztuk. Jest to dla przychówku łosiowego groźne, albowiem przy spotkaniu się łoszy z łoszukami z takiem stadem los łoszuka bywa niemal przypieczętowany. Walka z wilkami w tych dalekich ostępach jest uciążliwą, trudno bowiem zgromadzić ludzi do obławy, która zresztą nie jest na terenie łosiowym wskazana, trudno na czas dojechać, pozostaje więc tylko strychnina.

Proszę mi darować, że zapuściłem się w labirynt tematu raczej hodowlanego. Czytelnik myśliwy oczekuje zapewne momentów łowieckich.

Uważam wab tegoroczny za typowo cichy (Sztillbrunf — jakby powiedział niemiec). Zdaje mi się, że dwie były ku temu przyczyny. Pierwsza to pogoda, druga to wielka ilość łosz. „Na Hołowosieka łoś idzie na czełowieka" — mówi przysłowie tutejsze. Cóż z tego, kiedy w tym czasie, to jest 12 września (ścięcie głowy św. Janowi, według stylu starego) pogoda była niekorzystna. Od samego początku września do 13-go deszcze i wiatry, później kilka dni pogody, następnie do końca września znowu wiatry i deszcze. Druga przyczyna była ta, że, jak wyżej wspomniałem, łosz jałowych prawie że nie było, więc wywołało to objaw, iż prawie wszystkie łosze zaczęły odbywać swoje gody jednocześnie, zaraz po 12 września, co spowodowało, że wszystkie prawie byki były przy łoszach i jeden drugiemu nie przeszkadzał. To bezwarunkowo osłabiło sam wab. Rui słyszało się bardzo dużo. Pod koniec sezonu dopiero widać było z czatownic przechodzące z ostępu do ostępu byki w poszukiwaniu łosz.

Z pozwolonych mi do odstrzału 8 byków odstrzelono 6. Z tych cztery zupełnie dobre. Ładnego łopatacza po 8/7 pasemek (według systemu Kobylińskiego 263,65 punktów) zabił p. Stefan Ender. Również pięknego łopatacza po 7/8 pasemek (275 punktów) zabił Hieronim ks. Radziwiłł. Ja zaś osobiście zabiłem dwa, z których jeden bardzo piękny, typu jeleniowatego, bardzo gruby, 7/5 pasemek (291 punktów), drugi też typu jeleniowatego po 6/5 pasemek (276 punktów).



Ordynacja Dawidgródecka. Tegoroczny łoszak, chodzący samotnie w pobliżu nadleśnictwa i dający się podejść na kilka kroków. Fot. nadl. Zielonko.

Gdy spadnie śnieg i błota zamarzną, postaram się otropić łosie, aby sprawdzić ich stan liczebny. W każdym razie z pomocą św. Huberta w Ordynacji Dawidgródeckiej źle nie jest, co już dzisiaj z pewnością można powiedzieć.

KAROL RADZIWIŁŁ.

PO TEGOROCZNYM WABIE ŁOSI.

Z artykułu Karola ks. Radziwiłła dowiedzieliśmy się o przebiegu rui łosi w Ordynacji Dawidgródeckiej oraz o wyniku tegorocznego polowania na tego wspaniałego zwierza.

Niezrównany ten hodowca - myśliwy doprowadził stan łosi i wogóle swe tereny łowieckie do szczytu doskonałości tak pod względem ilości grubej zwierzyny, jak i jej jakości. Niezapomniane są dla mnie te dni, kiedy to na stanowisku, ze sztucerem w ręku, mijały mnie na terenach Ordynacji Dawidgródeckiej łosie i dziki, a nad głową ciągnęły głuszce, jarząbki i cietrzewie.



P. Teodor Ender z rosochami swego tegorocznego łosia.

Takie widoki w obramowaniu przecudnej kniei, ubranej w zimową szatę, w obecnych czasach mało myśliwych widuje — a serce kołacze z emocji i radości, że jeszcze w Polsce są takie klejnoty przyrody.

Przebieg rui łosi na terenach Jarosława hr. Potockiego w Rzepichowszczyźnie znam tylko z opowiadań tych myśliwych, którzy tam w tym roku i ubiegłych latach polowali na łosie. Stan ilościowy jest tam podobno b. dobry, a co do ich jakości, to miałem możność przekonać się osobiście z dokonanych przezemnie pomiarów rosoch ubitych tam łosi w ciągu trzech ostatnich lat.

Jakość łosi na Rzepichowszczyźnie jest b. dobra Z tej kniei pochodzą dwa rekordy rosoch. Obydwa te łosie upolował p. Stefan Steinhagen: pierwszego łosia rekordowego upolował on w r. 1933 o istotnej sumie (cyfra wartościowa) 321 punktów, w roku bieżącym padł drugi łoś rekordowy z jego ręki, o ilości punktów 313,5. Łoś ten jest, mojem zdaniem, pomimo mniejszej ilości punktów, daleko piękniejszy w formie i masie od łosia z 1933 r.

Wspaniałego łosia upolował na tych terenach w bież. roku p. Teodor Ender, o sumie punktów 286 — jest to kandydat na medal srebrny.

Trzeci łoś zabity w Rzepichowszczyźnie przez Fr. Edmond Blanc z Francji liczy 301 punktów, więc jest kandydatem na medal złoty. Ubito tam więc trzy najlepsze łosie z ogólnej ilości ubitych w tym roku 12 sztuk, o których mnie doszły wiadomości.

Na sąsiadujących z Rzepichowszczyzną terenach lasów państwowych w Dyr. Białowieskiej ubito 2 łosie, z których, niestety, tylko jednego widziałem i miałem możność dokonania pomiaru jego rosoch. Jest to również piękny łoś, upolowany przez Pana Ministra Czesława Michałowskiego, o sumie punktów 269,80 (medal bronzowy).

Ze sprawozdań osób, które obserwowały i badały ruję w ostępach lasów państwowych, dowiedziałem się, że stan łosi jest tam bardzo dobry, pomimo że w r. bieżącym z terenów tych zabrała epidemja sporą ilość sztuk, z których 13 zostało odnalezionych.

Stosunek samców do samic na terenach Rzepichowszczyzny i lasów państwowych jest stwierdzony jako bardzo dobry, a nawet byków ma być w stosunku do klemp za dużo, wskutek czego łosie rozchodzą się po dalszych ostępach, co w rezultacie nie jest złym objawem — bowiem w ten sposób zasiedlają one coraz dalsze okolice i rozszerzają swą stałą ostoję. Zachodzi jedynie obawa, że padną one z rąk kłusowników, bowiem ochrona nie rozciąga się tak daleko, jak sięgają ich wędrówki.

Inaczej przedstawia się sprawa łosi w Puszczy Rudnickiej w Dyr. L. P. w Wilnie. Tereny te miałem sposobność obserwować i badać przez trzy lata. Ilość łosi w Puszczy Rudnickiej nie zwiększa się, a w tym roku nawet było ich wyjątkowo mało. Straż leśna wprawdzie twierdzi, że wyjątkowo w dni mojej obecności łosie wabiły się gorzej, jednak objaw zmniejszania się tam ilości łosi zauważył również p. Wł. Korsak i zwrócił na to uwagę na posiedzeniu Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia w lipcu b. roku. Ja osobiście jestem zdania, że łosie w Puszczy Rudnickiej nie giną, lecz rozchodzą się do sąsiednich lasów państwowych i prywatnych po bardzo dużym obszarze, bowiem lasy ciągną się tam od Grodna aż do Wilna z małemi tylko przerwami tak, że łosie nikną w tym obszarze.

Ruja odbywała się w Puszczy Rudnickiej również cicho, jak i w Ordynacji Dawidgródeckiej, wogóle w czasie mego pobytu słyszałem wab tylko dwóch łosi, (podczas 3-krotnego pobytu w kniei), kiedy lat ubiegłych było ich czasami słychać 3—4 sztuki jednocześnie podczas jednego ranka, lub wieczoru.

Stan taki, pomimo przypuszczeń, że łosie wywędrowują do sąsiednich lasów, jest jednak niepokojący, trzebaby więc przyczynę niezwiększania się stanu łosi w Puszczy Rudnickiej zbadać dokładnie. W Puszczy Rudnickiej upolowano tylko jednego łosia w roku bieżącym, a zdobył go nasz pierwszy myśliwy, Pan Prezydent Rzplitej, Prof. Ignacy Mościcki

Opis polowania tego i fotografje były już umieszczane w „Łowcu Polskim" Nr. 28 z dn. 1.X b. r. Łoś ten mierzy 269,25 punktów i jest kandydatem na medal bronzowy.

Z pośród łosi, zabitych w tym roku, wiadomem mi jest kto je upolował i posiadam pomiary i fotografje w odniesieniu do 11 sztuk. Wszystkie te 11 par rosoch są wspaniałemi okazami i wszystkie kwalifikują się do nagród na pokazie.

Jest to dowodem, że posiadamy znakomity materjał hodowlany i że przy dalszej umiejętnej hodowli i właściwej selekcji, a umiarkowanym odstrzale rocznym, w krótkim czasie Polska będzie mogła szczycić się wspaniałą jakością rosoch łosich.

H. KNOTHE.

Łosie odstrzelone w 1935 r.

Pomiary, dokonane przez p. inż. H. Knothego.

Poszczególne elementy rosoch łosich	Iloczyn	Teodor Ender Pabjanice			Pan Prezydent Rzplitej			Stefan Steinhagen Warszawa			Min. Czesław Michałowski Warszawa			J. Zaborowski Warszawa			Stefan Ender Pabjanice			Tadeusz Lilpop Warszawa			Fr. Edmond Blanc			Karol ks. Radziwiłł Dawidgród.			Karol ks. Radziwiłł Dawi Igródek			Hier. ks. Radziwiłł		
		u Jarosława hr. Potockiego w Rzepichowszczyźnie			na ter. L. P. w Puszczy Rudnickiej woj. Wileńskie			u Jarosława hr. Potockiego w Rzepichowszczyźnie			na ter. L. P. w Nadl. Wiado.			na ter. L. P. w Nadl. Wiado.			u Kar. ks. Radziwiłła w ord. Dawidgródeckiej			na ter. L. P. Pol. Tow. Łow. w Nadl. Wiado.			u Jarosława hr. Potockiego w Rzepichowszczyźnie			u Kar. ks. Radziwiłła w ord. Dawidgródeckiej			u Kar. ks. Radziwiłła w ord. Dawidgródeckiej			u Kar. ks. Radziwiłła w ord. Dawidgródeckiej		
	Razy	c/m		punkt.	c/m		punkt.	c/m		punkt.	c/m		punkt.	c/m		punkt.	c/m		punkt.	c/m		punkt.	c/m		punkt.	c/m		pkt.	c/m		pkt.	c/m		pkt.
Suma obwodów nasady rogów { pr: / lew:	1	17,4 / 17,2	34,6	34,6	16 / 16	32	32	18,5 / 18,3	36,8	36,8	18 / 17,8	35,8	35,8	17,5 / 17,5	35	35	15 / 15,5	30,5	30,5	15,5 / .5,2	30,7	30,7	18 / 17,3	35,3	35,3	—	36	36	18 / 19	37	37	20 / 16	36	36
Największa rozpiętość	0,5	100	100	50	111	111	55,5	108,6	108,6	54,3	96	96	48	117	117	58,5	90	90	45	123	123	61,5	115	115	57,5	115	115	57,5	127	127	63,5	98	98	49
Średnia najwięk. długości obu rogów { pr: / lew:	1	86,5 / 85	85,75	85,75	87 / 86,5	86,75	86,75	109 / 100,5	104,75	104,75	86 / 93	89,5	89,5	87 / 93,5	90,25	90,25	79,3 / 84,2	81,75	81,75	94,5 / 102	98,25	98,25	103 / 97,5	100,25	100,25	$\frac{192}{2}$	96	96	103 / 98	100,5	100,5	$\frac{172}{2}$	86	86
Suma największej szerok. obu rogów { pr: / lew:	2	22 / 19	41	82	17,5 / 17	34,5	69	24 / 19	43	86	17,5 / 15	32,5	65	11 / 14	25	50	18,2 / 19	37,2	74,4	19,5 / 15,5	35	70	18 / 20	38	76	—	28	56	—	29	58	—	37	74
Przeciętna długość wszystkich pasemek	1	—	—	15	—	—	15	—	—	15	234/12	15	15	214/10	15	15	294/15	15	15	—	15	15	290/12	15	15	—	—	15	—	—	15	—	—	15
Faktyczna ilość pasemek ponad 10 sztuk	1	14	4	4	10	0	0	14	4	4	12	2	2	10	0	0	15	5	5	15	5	5	12	2	2	11	1	1	12	2	2	—	—	5
Waga i masywność od 1 — 15	1	—	—	15	—	—	12	—	—	15	—	—	15	—	—	15	—	—	12	—	—	15	—	—	15	—	—	15	—	—	15	—	—	15
Suma punktów	—	—	—	286,35	—	—	270,25	—	—	315,85	—	—	270,3	—	—	263,75	—	—	263,65	—	—	295,45	—	—	301,05	—	—	276,5	—	—	291	—	—	280
Odliczono za usterki od 1 — 5 punkt.	—	—	—	0	—	—	1	—	—	0	—	—	0	—	—	0	—	—	0	—	—	0	—	—	0	—	—	0	—	—	0	—	—	0
Punktacja ostateczna	—	—	—	286,35	—	—	269,25	—	—	315,85	—	—	270,3	—	—	263,75	—	—	263,65	—	—	295,45	—	—	301,05	—	—	276,5	—	—	291	—	—	280
Kandydat na medal:		srebrny			bronzowy			złoty			bronzowy			bronzowy			bronzowy			srebrnv			złoty			bronzowy			srebrny			na granicy bronz. i srebr.		

Na medal bronzowy potrzeba ponad 260 punktów
" srebrny " " 280 "
" złoty " " 300 "

Ś. P. INŻ. STANISŁAW MORZKOWSKI.

Gdy wziąłem pióro do ręki, aby napisać o inżynierze Morzkowskim, dopiero w tej chwili uprzytomniłem sobie dokładniej, że muszę pisać w formie, zwanej wspomnieniem pośmiertnem, że muszę pisać o człowieku, o myśliwym i o kynologu, który przestał żyć.

Nastrój, w którym się znalazłem, nie jest przypadkowy. Sprowadziła go osobistość Zmarłego, utrwalając żywo w pamięci postać rosłego i barczystego mężczyzny o pogodnych, bystrych, dobrych oczach i spojrzeniu wyraźnie mówiącem: „Kocham życie, kocham wszystkich i wszystko".

Zdawało się, że ta postać, uosobiająca energję i radość, siłę i dobroć, postać, tchnąca niezniszczalnością, nie odejdzie z naszego grona.

A jednak...



Ś. p. inż. Stanisław Morzkowski.

Ś. p. Stanisław Morzkowski, urodzony w 1865 roku w powiecie częstochowskim, pochodził z rodziny ziemiańskiej.

Po ukończeniu szkoły średniej w Łowiczu, wyjeżdża zagranicę, skąd powraca z dyplomem inżyniera chemika do kraju.

Obdarzony niezwykłą energją, ś. p. inż. Morzkowski, w poszukiwaniu szerszych możliwości w swym fachu, wyjeżdża do Moskwy, gdzie zostaje odrazu przyjęty do fabryki „I. S. Ossowieckiego T. A." w charakterze chemika-farbiarza.

Wkrótce inż. Morzkowski, zyskując uznanie dla zalet swego charakteru i posiadanych wiadomości — zostaje dyrektorem tej fabryki, którą kieruje przez 35 lat.

W życiu polonji moskiewskiej bierze czynny udział. Piastuje godność członka Zarządu Polskiego Tow. Dobroczynności, Prezesa Polskiego Stow. „Lutnia" i t. p., a po rewolucji 1917 r. zostaje członkiem Zarządu Komitetu Repatrjacyjnego.

Ta ostatnia funkcja sprowadza osadzenie ś. p. dyr. Morzkowskiego w 1919 r. w więzieniu butyrskiem w Moskwie — w charakterze zakładnika Polski.

Skazany przez bolszewików na śmierć, zawdzięczając traktatowi ryskiemu, na żądanie władz polskich zostaje ułaskawiony i zwolniony. Z pierwszą grupą zakładników powraca do kraju, gdzie niestrudzony obejmuje stanowisko dyrektora w fabryce „Blask" w Poznaniu.

Po 10 latach intensywnego wysiłku, zwabiony świeżemi ścieżkami twórczej pracy w młodziutkiej instytucji przemysłowej „Poznańska Spółka Rolna", obejmuje kierownictwo techniczne olejarni w Szamotułach i tu na posterunku w dn. 5 listopada b. r. umiera na anewryzm serca.

Ś. p. Stanisław Morzkowski był doskonałym znawcą psów, wieloletnim sędzią prób polowych w Rosji i u nas, słynnym hodowcą setterów irlandzkich i wielkim miłośnikiem polowania na wilki i głuszce.

Pamiętam pierwsze nasze spotkanie, jakby to było dziś. Państwo Morzkowscy mieszkali przy fabryce za rogatkami moskiewskiemi, zwanemi „Preśnią".

Przez sztachety, okalające obszerny, piętrowy dom drewniany („osobniak"), widzę atletycznej budowy mężczyznę w sile wieku, oblężonego łaszącemi się, przepięknemi irlandczykami.

Przy otwarciu furtki rzucają się na mnie z głośnem szczekaniem trzy wiśniowo-rude psiska, jakby miały żywcem rozszarpać nieznanego przybysza.

Gromkie „down" właściciela przykuwa wszystkie trzy pupilki zamiłowanego hodowcy do ziemi. Przechodzę wśród nich, przedstawiam się p. Morzkowskiemu i po chwili jesteśmy już dawnymi znajomymi. Bo ś. p. Dyrektor Morzkowski zdobywał serca wszystkich od pierwszej chwili poznania.

Dar władania ludzkiemi sercami zawdzięczał swemu własnemu, a umiał je okazać wszystkim, którzy w płomieniu Jego uczuć szukali pokrzepiającego ciepła.

Posiadając rozległe znajomości wśród społeczeństwa rosyjskiego, ś. p. Stanisław Morzkowski staraniami swemi i pomocą niejedną łzę Polaków otarł, niejedno młode życie dla Polski od zagłady uratował, szczególnie podczas wojny.

Psy hodował z zamiłowaniem i nigdy się ze swemi ulubieńcami nie rozstawał. Nawet w surowem więzieniu butyrskiem dzieliła z nim niewolę piękna „Nida", irlandka, którą ze swej hodowli ocalił i do kraju przywiózł.

Dlatego też trudno dziś przywołać w pamięci sylwetkę tego zacnego Człowieka bez otoczenia psów i to zawsze irlandów, — bo jak wspomniałem Dyrektor Morzkowski kochał wszystko i wszystkch, ale przedewszystkiem kochał psy i ludzi.

Opuszczając nas tak niespodzianie, ś. p. Stanisław Morzkowski pozostawia miejsce niezajęte wśród grona doświadczonych hodowców i głęboki żal w sercach tych, którzy mieli szczęście znać się z Nim bliżej.

J. D.

TREŚĆ NUMERU:

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, L. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Koszutowski, St. Leski, M. Mniszek - Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus - Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

SKŁAD BRONI i FABRYKA AMUNICJI

W WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17.

Oddziały: Poznań Br. Pierackiego 12, Lwów Plac Marjacki 4, Wilno Wileńska 10.

Poleca: duży wybór strzelb myśliwskich, karabinków i pistoletów pierwszorzędnych fabryk, oraz naboje śrutowe, pistoletowe, rewolwerowe, sportowe kal. 22 i śrut w najlepszym gatunku — własnego wyrobu.

Warsztaty rusznikarskie pod kierownictwem wykwalifikowanych majstrów w Centrali i Oddziałach.



Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI w Warszawie
sp. z o. o.
Krak. Przedm. 7, tel. 647-47

Poleca strzelby:
- G. Delourny-Sevrin à Liege
- A. Forgeron „
- A. Francotte „
- Lepage „

Sztucery, Trójlufki
- G. Delourny-Sevrin à Liege
- J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie

Pracownia wypychania ptaków i zwierząt, oprawa rogów, robienie dywanów i WYPRAWA SKÓR Z WŁOSEM
WIKTORA ŁASTOWSKIEGO
W WARSZAWIE, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 10. Tel. 6-86-78.

Zwierzynę, ptactwo dzikie, drób

Zakupują w każdej ilości po najlepszych cenach rynkowych

BRACIA PAKULSCY

Warszawa, Centrala Bracka 22

telef. 631-73, 631-38 telegr. „Brapakul"

Przy zakupie win naturalnych, gronowych, które posiadamy w wielkim wyborze, poczynając od zł. 3,75 za butelkę, dla JWP. Ziemian ustępujemy 10 procent rabatu

---

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39-36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę porąb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.



FOTO - NAPRAWA LORNETEK
WARSZAWA CHŁODNA 37.
UNIESZOWSKI

OZNAKI

„STRAŻNIK ŁOWIECKI"

z opaskami w cenie zł. 6.00 za sztukę

poleca:

Administracja „Łowca Polskiego", Warszawa, N.-Świat 35

SKŁAD BRONI I AMUNICJI „ŁOWIEC"

WARSZAWA, UL. WIDOK 22. TELEFON 504-93

Zaopatrzony w towar najlepszych marek.
Poleca po cenach niskich
Dubeltówki firmy PAUL SCHOLBERG LIÈGE
Sztucery dubeltowe i trójlufki firmy.
Fr. WILH HEYM. SUHL
Skład stale zaopatrzony w broń używaną
Warsztaty reparacyjne wykonują szybko wszelkie naprawy
Ceny wyjątkowo niskie.
Fachowa obsługa. Terminowa dostawa
Szanownej Klijenteli poleca się
WILHELM ZIEGENHIRTE

POWSZECHNIE PANUJĄCY

Zanik Radości Życia

nie zagraża tylko bywalcom

WINIARNI ZIEMIAŃSKIEJ „CAVEAU CAUCASIEN",

gdzie przy czarownych pieniach romansów cygańskich w wykonaniu CHÓRU BOJANÓW i przy pięknej rewji artystycznej panuje beztroski humor.

Znakomite kolacje klubowe z 3 dań — 2.50.
Dancing do rana.

Administracja Dóbr Zielona Dąbrowa, poczta Julianka, stacja kol. Potok Złoty, sprzedaje żywą zwierzynę (zające, bażanty, kuropatwy). Cenniki na żądanie.

Administracja Dóbr Gosławice, pow. Konin, woj. Łódzkie wydzierżawi polowanie na terenach miejskich obszaru ca 1300 ha, na dziki, stan około 80 sztuk, rogacze, lisy i zające. Bliższych informacyj udzieli właściciel w Gosławicach, poczta Konin 29.

Bażanty, kuropatwy, dzikie króliki, oraz rośliny pastewne dla zwierzyny i sadzonki leśne, poleca **Zarząd Lasów XX. Czartoryskich,** Nadleśnictwo Babki, poczta Krzesiny, Wielkopolska. Prosimy żądać bezpłatnych cenników.

Gryfony, szczenięta półroczne, przepiękne, sprzedam. Wiadomość Nowy Świat 46 m. 21, tel. 622- 21.

Krótkowłose, niemieckie, po importach wyżły — szczenięta od Tosca — Hubertus wnuczki Championa Czechosłowacji z 1930 r. hodowli p. inż. Karnkowskiego, po „Hel" hodowli p. Abramowicza (I - miejsce i złoty medal na wystawie w Gdańsku i I nagroda w Warszawie) — do sprzedania (w połowie stycznia 6-cio tygodniowe). Dwa pieski po 70 zł. i 2 -uczki po 60 zł. Psy wybitnie polowe z doskonałym wiatrem i chodem, do obejrzenia w Warszawie. Wiadomość w biurach P. Z. S. Ł. tel. 6-66-15 lub 8 07-98 w godz. urzędowania.

Leśniczy, poznańczyk, lat 31, siła fachowa, silny, zdrów z wykształceniem, równającem się 6 kl. gimnazjum, z 12-letnią praktyką leśną, z wszechstronnemi wiadomościami z gosp. leśnej, z księgkowości leśnej, gospodarczej i kasowej dobry hodowca lasu i zwierzyny. Bażantarnik, trzeźwy, sumienny i obowiązkowy — poszukuje posady leśniczego, przyjmie także posadę borowego, strzelca-bażantarnika, na skromnych warunkach. Chlubne świadectwa i polecenia. Okolica obojętna. Łaskawe zgłoszenia: Józef Sakowicz, Kaczanowo 55, poczta Wrześnie, woj. Poznańskie.

Sprzedam dobrze utrzymany oryginalny Greener-flower 6 mm. dalekonośny do 200 m. ewentualnie zamienię za dopłatą na dubeltówkę kal. 16 względnie 20. Zgłoszenia Administracja „Łowca Polskiego" pod Nr. 2094.

Zarząd Dóbr Kobiele Wielkie, poczta Radomsko ma do sprzedania cztery francuskie fretki 8-mio miesięczne (3 samiczki i 1 samiec.)

Żywe kury bażancie sprzedaje Leśnictwo Dłoń, Wielkopolska.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15